

# Oszubski Tadeusz

## Pakt

Z „Fahrenheit”

ilustracje Małgorzata "Asfodel" Jakubiak

*Andras (...). Ukazuje się pod postacią anioła z głową puchacza, dosiadając czarnego wilka i dzierżąc miecz. Tych, którzy przypadną mu do gustu, uczy, jak zabijać nieprzyjaciół, panów czy sługi. To on wznieca kłótnie i waśnie.*

*J. Collin de Plancy, "Słownik wiedzy tajemnej".*

Budynki klasztorne o dachach krytych szarym łupkiem tonęły w grafitowym mroku. To wówczas, z purpurowymi smugami porannego słońca, znaczącymi bielone wapnem ściany, do klasztoru nadciągnęła śmierć. W tamtej chwili Merfyn czerpał wodę ze studni cembrowanej głazami i to zwykłe, codzienne zajęcie ocaliło mu życie.



Modlił się, napinając linę, ciągnąc wiadro napelnione, ciężkie wodą, gdy od strony refektarza dobiegły go okrzyki i szczęk broni. Mnich opróżnił wiadro i, kryjąc się za cembrowiną, podniósł je przed siebie niczym tarczę. Jednak dębowe klepki spojone obręczami z żelaza lichą stanowiły obronę przed mieczami Morawian. Merfyn nie zastanawiał się nawet, kto klasztor najechał. Pewny był, że to oddział morawskich wojów napadł na mnisie sanktuarium, mając za nic i księcia Wiślicy, i opata Adamnana, i Boga samego.

Od dziesięciu lat grupa mnichów iryjskich żyła w opactwie wzniesionym na pogórzu słowiańskich ziem. Tu, na krańcu świata, Merfyn i jego bracia duchowi nieśli Słowo Boże poddanym księcia Wiślan, Czechom, nawet ludowi księcia Bolesława - Polanom role orzącym na nizinach północy. Jednak klasztor solą w oku był jednemu z morawskich wielmoży. On i podwładni jego czcili bóstwa w drewnie, kamieniu czynione. Ani myśleli wyrzec się ich dla Chrystusa. Od kilku miesięcy swą wrogość czynami podkreślali. A to jaką owcę mnichów ubili, a to chatę na przysiółku podle opactwa z dymem puścili. Wreszcie jednego brata zakonnego w lesie dopadli i nim śmierć mu

zadali, wzięli na straszliwe męki.

Merfyn miał za nic pogańskie obrzędy, dla niego były to hołdy składane mocom czartowskim. A tu, na świata krańcu, demony słabowite były i leniwe. Wiedział jednak, że z mieczami pogan żartów nie ma, a do śmierci męczeńskiej pilno mu nie było pilno.

Otworzył zaciśnięte z sił całych, ze strachu, powieki. Wyrżał ostrożnie zza wiadra w dłoniach kurczowo ściskanego. Musiał podjąć decyzję: zostać u studni i pewnie zginąć, czy salwować się ucieczką. Przeżegnał się żarliwie i wybrał to drugie.

Podwinął poły habitu, skulił się i przygarbiony, niemal na czworakach, przebiegł dziedziniec. W połowie drogi między zabudowaniami nad jego głową świsnęła włócznia rzucona przez któregoś z wojów. Dwóch Morawian z zakrwawionymi mieczami w dłoniach ruszyło ku iryjskiemu mnichowi. Zamierzali przeciąć mu drogę, ten jednak gnał jak kozica i był od nich szybszy. Strach wykrzeszał w Merfynie siły, o których zasoby mnich siebie nie podejrzewał.

Podbiegł do niskiego muru z głazów okalającego przyklasztorny warzywnik, wspiął się nań, po czym skoczył na szorstkie, górskie trawy. Poczul zapach wilgotnej ziemi i młodych roślin. Był już poza kręgiem zabudowań.

Poderwał się i biegiem ruszył przez dolinę ku pobliskiej płataninie jarów i osuwisk. Ścigały go okrzyki: tryumfujących zbrojnych i umierających zakonników. I choć żaden z Morawian nie przeskoczył muru, by gnać za Merfynem, mnich wciąż nie był bezpieczny. Przez powietrze świsnęła strzała. Potem druga - blisko. Wreszcie trzecia, wypuszczona przez łucznika stojącego na klasztorным murze niczym posąg, dopadła Merfyna.

Ciężki pocisk przebił sukno habitu, jednak stracił impet w fałdach grubej tkaniny. Grot przeciął tylko skórę na plecach mnicha, ześlizgnął się po kości obojczyka. I choć rana była bolesna, to nie uczyniła Merfynowi znaczącej krzywdy.

Mnich upadł między trawy, potoczył się ku pasowi zbawczych krzewów. Tam, między gałęziami, zmarł. Nie wiedział, czy lecą ku niemu następne strzały, czy ścigają go zbrojni. Czekał, nikt jednak za nim nie ruszył. Widać, w obliczu zwycięstwa, Morawianom nie zależało na jednej więcej, czy mniej ofierze.

Uciekinier, zaciskając zęby z bólu i rozpacz, szeptał modlitwy. Tyle tylko dla swych braci mógł uczynić. O zagładzie opactwa upewnił go mdlący swąd płonących zabudowań, ciał ludzi i zwierząt trawionych pożarem.

Merfyn przeleżał w chaszczach dzień cały, póki nie spowił go kir bezksiężycowej nocy. W mroku poczuł się bezpieczny. Wstał z wilgotnej ziemi. Nie spojrzawszy nawet na zgłiszcza opactwa, ruszył we wschodnim kierunku, ku przełęczy ze szlakiem wiodącym z nizin w góry wysokie. Tam była najbliższa wieś poddanych wiślickiego księcia, osada ludzi przychylnych opactwu.

Szedł i modlił się za dusze mnichów śmiercią męczeńską zgasłych. Nie miał jednak pokoju w sercu, by modlić się o zbawienie dla morderców.

Szedł cztery dni, nie napotykając człeka. Widział jednak wokół liczne ślady przemarszu morawskich wojów. Gdy dotarł do wsi - znanej mu, spokojnej, z ludem miłym - obraz grozy odjął mu mowę. Odjął też wiarę. Stał więc Merfyn przed spalonymi chatami, patrzył na zbezczeszczone zwłoki wyznawców Chrystusa - prostych, dobroci pełnych. W obliczu tej grozy nie potrafił już wypowiedzieć słów modlitwy. To tamtego dnia właśnie Merfyn obłożył klątwą Morawian, całą ludzkość, nawet Stwórcę.

O wschodzie słońca mnich ruszył na północ, ku wysokim górą. Kilka dni później, na pustkowiu, między krainami Wiślan i Morawian, dotarł do jaru z obszerną grotą. Zamieszkał w niej, niczym eremita na afrykańskiej pustyni w czasach początków Kościoła.

Merfyn żywił się ziołami, owocami leśnymi, mięsem królików i myszy - płowej zwierzyny odludków słowiańskich ziem, na którą polował zaostrzonym kijem. Jadał przy ogniu nieconym w jaskini, komnacie wyrytej w skale mocą wiatru i wody. Noce przesypiał tam na łożu uczynionym naprędcz z wrzosów i trawy.

Mijały tygodnie, lato przemieniło się w jesień. Nadeszły chłody, mgły ścieliły się w jarze. Przez cały ten czas Merfyn nie spotkał człowieka, nie wypowiedział słowa. Wreszcie pewnej wilgotnej i zimnej nocy, gdy Merfyn wyszedł przed grotę i spojrzął w ciemność, rozległ się jakiś dźwięk. Mężczyzna drgnął zaskoczony, ze skupieniem wsłuchał się w noc. Potem... potem odkrył, że ciszę przecina jego własny głos. Nieświadomie wypowiadał słowa, które każdej chwili wibrowały w jego myślach. Ból to był, złość straszliwa i dogłębna: na Morawian-morderców, na książąt Kościoła, co mnichów wśród pogan ślali i na wiślickiego władcę, który do ochrony sprawy chrystusowej miernie się przykładał.

Merfyn nabrał powietrza w płuca i jawnie wykrzyczał swój ból w ciemność:

- Nienawidzę ich! Nienawidzę! Pozabijam ich!

Dźwięk odbił się od ścian jaru, zwielokrotnił w czaszy jaskini. Echo oddało Merfynowi jego słowa, po czym dźwięki zatoneły na dnie jaru. Nie był to jednak koniec sprawy, lecz jej początek.

Światło poranka odkryło w jaskini, u wezglowia wrzosowego łoża Merfyna, wyryty w skalnej ścianie znak: łacińską literę A. Mężczyzna rozwarł sklezione snem powieki, wpatrywał się z niedowierzaniem w symbol. Pewien był, że dotąd w skale żadnego znaku nie było. Ktoś go nocą musiał kuć w kamieniu! Mnich poczuł lęk. Wybiegł z jaskini. Chwytał kij, którym polował na króliki i obszedł okolicę. Przeczesał zarośla, jednak nie odkrył śladu człowieka.

Kto nocą wyrył znak w skale nad łożem? - zastanawiał się Iryjczyk. Czy spał tak mocno, że nie słyszał stukotu młota, zgrzytu rylca drążącego kamień? W Merfynie rósł strach, że ktoś go obserwuje. Że patrzy nań, gdy on śpi i może go zabić, jeśli tylko chęć taką poczuje. Lęk rósł, przypominał o morawskich wojach, którzy zabili braciszków w opactwie, a na Merfyna polowali, jak na zwierza. W tamtej chwili przerażenie zamieniło się w nienawiść. W żądze mordy i odwetu.

Mężczyzna znów wyszedł przed jaskinię i wykrzyczał swe uczucia. Złorzeczył wszystkim i wszystkiemu. Słowa te mknęły między góry wysokie, między skały, poza granice światów żywych i umarłych oraz takich, co takiemu podziałowi się nie poddają.

Mnich - niegdysiejszy już sługa boży, choć nadal pustelnik - krzyczał o swej nienawiści do Morawian. O nienawiści do wszystkich ludzi broń noszących. O nienawiści do władców, możnych i książąt Kościoła, którzy niewinnych na śmierć w mękach wydają. I o nienawiści do siebie samego, bo wszak złu nawet nie spróbował zapobiec. Krzyczał Merfyn do Boga i na Boga. Krzyczał, że On tylko patrzy w milczeniu na Zło, że bawi Go niemoc Merfyna.

Odtąd każdej nocy mężczyzna słowami wyrzucał toczące go ból, strach, nienawiść. Wrzeszczał w ciemności, aż głosu mu brakło, aż zmęczenie brało górę i zasypiał snem niespokojnym, nie przynoszącym wypoczynku. I poranka każdego nad wezglowiem barłogu znajdował kolejną nową



literę wrytą w skalnej caliznie. Kto kuł w kamieniu te znaki? - zastanawiał się mężczyzna. Człek, czy raczej siła jakaś tajemna? I czy moc ta była czysta, czy też nie?

Tydzień nie minął, a znaki łacińskiego alfabetu ułożyły się w wyraz o nieznanym mężczyźnie znaczeniu. Słowo brzmiało: ANDRAS.

Odtąd Merfyn wykrzykiwał nie tylko swą nienawiść, ale i słowo ANDRAS - nieznanie, tajemnicze, kuszące. Bo choć nie znał znaczenia wyrazu, jego brzmienie pasowało w szyku płynących mimowolnie słów, symboli nienawiści i żądy zemsty.

Mijały dni, przepływały noce. Wreszcie któregoś z purpurowych zmierzchów Merfyn doczekał się odzewu: spośród mgielnego oparu, z otchłani parowu, wyłonił się jakiś kształt. Nagły ruch, a szczególnie niezwykła forma, którą Merfyn ujrzał, sprawiły, że Iryczyk przerwał swą litanie nienawiści.

Nie był pewny, czy ujrzał człeka, czy upiora. Z uwagą przyglądał się przybyszowi, gdy ten powoli, acz zdecydowanie, zmierzał poprzez mgły ku jaskini. Merfyn od dawna nie widział istoty ludzkiej i z nikim zdania nie zamienił, więc choć natura przybysza była mu niewiadoma, to jednak płomyk radości rozświetlił korytarz goryczy w jego duszy. Przybysz był już blisko i dało się dostrzec pierwsze szczegóły. Czyżby był to jeździec w asyście pieszych zbrojnych? Morawianie mnie dopadli?! - przeraził się Merfyn. W tamtej chwili Iryczyk - zagnany przez los o tysiące mil od swego domu i porzucony wśród ziem barbarzyńskich Słowian - pomyślał, że oto zaraz, na krańcu świata i w mękach, przyjdzie mu oddać życie.

Morawianie? - zastanawiał się z rozpaczą Merfyn. Zaraz jednak dane mu było odkryć, że świat żywych przemierzają watahy istot bardziej przerażających od pogańskich wojów.

Z mgły, dobrze teraz widoczny w skąpych światłach wieczoru, wyłonił się jeździec przewodzący przybyszom. Zatrzymał się kilka kroków przed Merfynem, który stał u wejścia grotu.

Wojownik był straszliwszy od całej jazdy morawskiej: dosiadał ogromnego, czarno umaszczonego wilka; w prawej dłoni dzierżył miecz błyszczący, jak żywe srebro. Przerażający rycerz za nic miał zbroje z żelaza. Nagi był, a jego młodzieńcze ciało o białej, alabastrowej skórze, emanowało zimne, sine światło. Z ramion wyrastały mu ogromne, jakby łabędzie, skrzydła śnieżnej barwy. Głowy nie chronił szyszak żelazny, głowy... iście nieludzkiej. Merfyn zadrżał. Jeździec na czarnym wilku głowę miał sówią, porośniętą piórami barwy popiołu.

Budzącego lęk rycerza otaczał tłum czarnych sylwetek, jakby ludzkich, lecz w narastających ciemnościach sprawiających wrażenie bardziej cieni, niż istot żywych.

- Wezwałś mnie, więc jestem - powiedział przybysz niskim głosem. Z wielkiego, mocnego, niby ptasiego dzioba, płynęły dźwięki mowy ludzkiej.

Merfyn wzdygnął się, cofnął o krok w stronę wejścia grotu. Był przerażony do cna tym, co ujrzał i słyszał. Poczul też wstyd - co zaskoczyło go równie mocno, jak pojawienie się nadnaturalnego rycerza - że oto, gdy przychodzi mu umierać, to on jest w stroju niegodnym chwili, podartym i brudnym, ze zmierzwionymi włosami i brodą sięgającymi pasa. "Cuchnę, jak kozioł" - pomyślał Iryczyk, a głośno spytał:

- Przyszedłeś po mnie? Wysłał cię Bóg po mą duszę?

Odpowiedzią był gromki śmiech istoty o sówiej głowie. Rycerz, nadal rozbawiony, zsiadł z wilczego wierzchowca. Łagodnie poruszając skrzydłami, jakby wahał się wciąż, czy używać ma nóg, czy też wzbici w powietrze, zbliżył się do mężczyzny.

- Wezwałeś mnie, więc jestem - powtórzył słowa sprzed chwili.

- Umarłem? Dusza ma do Boga pójdzie? - dopytywał się Merfyn z obawą czytelną w głosie. Zadrzał i odsunął się o kolejny krok od uskrzydłonej istoty.

- Wzywałeś imienia mojego w bliskiej mi intencji. A nie jest w zwyczaju moim, by działa się tak nadaremnie - wyjaśnił przybysz.

Merfynowi pojaśniało w głowie.

- Jesteś Andras - bardziej stwierdził, niż spytał.

- To jedno z imion moich - odparła istota, po czym dodała z lekkim zniecierpliwieniem: - Imienia mojego każdej nocy po wielokroć wzywałeś. Usłyszałem cię z oddali otchłannej i stamtąd przybyłem do cię. Utrudzony jestem, więc do sedna przejdźmy. Łakniesz czegoś, a ja dać ci to mogę. Pakt więc ci proponuję między nami.

Merfyn, choć sądził, że to niemożliwe, przeraził się jeszcze mocniej. Nabrał bowiem pewności, iż ma przed sobą nie wysłannika Boga, którego wszak przeklął wraz z całym dziełem jego, lecz że oto stoi przed nim sam Szatan.

- Szatan jesteś?! Chcesz duszy mojej? - spytał Iryjczyk.

- Nim powiem, czego chcę od ciebie, wyjaśnię ci, co za to dać mogę - rzekła budząca grozę istota. - Nadstawże więc uszu człeku. Ja wiedzę ci dam. Wszak nienawidzisz, a mnie znane są wszelkie sposoby unicestwienia twoich wrogów. Wiem, jak śmierć zadać ręką nieuzbrojoną, i orężem, i mocą zawartą w roślinach i solach, i jak unicestwić człeka magicznym sposobem. Dam ci tę wiedzę. Chcesz poznać ją wszystką?

- Moja dusza po śmierci pójdzie do piekła? Taka jest cena? - spytał Merfyn, czując chłód w sercu mroźniejszy od zimowej nocy.

- A na co komu w piekle dusza twoja, człecze wart niewiele? - odparła pytaniem na pytanie tajemnicza istota.

- Upadłym aniołem jesteś? - dopytywał się dalej Iryjczyk

- Aniołem? Nie przeczę - zaśmiał się Andras. - A czym upadły? Czyż na nogach krzepko się nie trzymam? Ach, zanudzasz mnie człecze! Przejdźmy do spraw naszych. Tak więc ja obliguję się nauczyć ciebie, Merfyna Iryjczyka, zabijania ludzkich istot. Tylko ludzkich, podkreślam. Ty zaś Merfynie, w ramach paktu, utwalisz w piśmie i na wieki wiedzę, jaką ci przekażę. A gdy nauk mych spisywanie zakończysz, to po chrześcijańsku się odwdzięczysz: napoisz mnie, nakarmisz i przyodziesz. Takie są warunki i odstęstwa od nich nie ma.

- Nauczysz mnie zabijać pogańskich Morawian? Nie są to sługi twoje szatańskie? - zbierając skromne resztki odwagi, Merfyn zadał podchwytliwe pytanie.

Andras zaniósł się głośnym, beztroskim śmiechem:

- A czym ja Szatan, czy jak wy tam, ludkowie, władcę Otchłani zwiecie? - powiedział po chwili. - Ja tobie, Merfynie, pokażę jak zabić każdego człeka. Jak pozabijać ich wszystkich!

Merfyn milczał. W myślach jego nienawiść do morawskich wojów toczyła bój z lękiem o życie doczesne i wieczne.

Zniecierpliwiony anioł spytał:

- Chcesz tego, Merfynie? Powiedz na głos, nie w myślach, że przyjmujesz warunki moje, a pakt będzie na wiek wieków zawarty.

Mężczyzna przestał się wahać.

- Chcę tego wszystkiego - oświadczył zdecydowanym tonem.

Od tej chwili Merfyn stał się uczniem Andrasa.

Nauka trwała od zmroku do świtu przez rok cały. Każdej nocy Andras przybywał do jaskini pośród gór krainy Słowian. Zawsze na grzbiecie czarnego, kły szczerzącego wilka nadnaturalnej wielkości. Zawsze w otoczeniu świty milczących, człekopodobnych cieni.

Każdej nocy, przy świetle pochodni, anioł, o pochodzeniu i intencjach niejasnych, wymawiał magiczne formuły. Palcem szkicował w piasku tajemne znaki: imiona nieludzkich bytów i kwadraty Abramelina, co bramą są do innych światów. Wszystko to Merfyn wiernie utrwał. Symbole i litery łacińskiego alfabetu rzeźbił, niczym czcionki, w cedrowych deskach, które pojawiały się w jaskini cudownym, albo przeklętym sposobem.

Pierwsze z drewnianych stron - rytych przez Merfyna wyuczona jeszcze w Irlandii techniką lustrzaną, pozwalającą odciskać na pergaminie wiele duplikatów - mówiły o powstaniu świata oraz jego formie i treści.



- Noc otaczała Chaos, ten zaś formował się w materię przesyconą duchem - dyktował człowiekowi anioł. - Powstało jajo kosmiczne w skorupie Nocy. We wnętrzu swym podzieliło się na sklepienie z eteru i na ziemię. Zrodziło się Światło. Następnie Noc, która powiła Momosa niosącego zły los, Kera od gwałtownej śmierci, Tanatosa, co wszelkiej zagłady jest panem, Hypnosa - władcę snów bez barw. Noc zrodziła też istoty zwane Ludem Snu, co zamieszkują pogranicze jawy. Ni żywe są one, ni martwe, na wieki w pół drogi między mrokiem, a światłością. Potem z eteru i ziemi, nocą, anioły stworzyły ludzi...

- Pismo Święte kwestię genezis opisuje zgoła inaczej. To, co rzeczesz, to już nie herezja, to pogaństwo! - przerwał Andrasowi Merfyn czującą grozę.

- Masz ponoć wolną wolę, człecz - odparła istota. - Tak mówią Ojcowie Kościoła, czyż nie, mnichu bez wiary? Ale nie moja rzecz, czy i w co wierzysz. Przypomnę: pakt nasz zakłada, że utrwalisz słowa moje, a nie, że oddasz się im.

Wywód ten uspokoił Iryjczyka i mężczyzna powrócił do snycerskiej pracy.

Anioł - światła czy ciemności wysłannik, tego Merfyn nadal pewny nie był - przez trzysta sześćdziesiąt pięć kolejnych nocy dyktował tajemną wiedzę człowiekowi. Nauka szeroki miała zakres:

od początków świata, po jego kres, od imion ziemskich królów, po miana władców innych światów. Wedle słów anielskich, czyny ludzi i istot tajemnych splatały się, ukazując dotąd Merfynowi nieznaną osnowę historii światów.

Andras, zgodnie z treścią paktu, mówił też wiele o sposobach zadawania śmierci. Dyktował, jak zabić silnego mężczyznę jednym palcem - przebijając oko i niszcząc mózg. Jak zadać przemyślny sztych ostrzem miecza, odpowiednio wyprofilowanym i odkutym z meteorytowego żelaza. Podawał magiczne formuły pozwalające ukrywać wojowników pod korą drzew i przyzywać na zgubę wrogom mordercze istoty spoza człowieczego świata. Tłumaczył, jak czerpać moc ze słabości i paktować z Ludem Snu.

Wreszcie nadeszła noc trzysta sześćdziesiąta piąta i anioł uznał, że zakończył nauki. Że traktat o zagładzie stanowi dzieło pełne, doskonałe. Rzeźbione przez Merfyna stronicie gotowe były i pozostawało tylko odbić nimi egzemplarze andrasowej Księgi Mordu.

- Poznałeś, Merfynie, wszelkie wynalezione dotąd sposoby uśmiercania ludzkiej istoty. Wiesz, jak niechybnie zabić dowolnego człowieka w dowolnym miejscu i chwili. Spisałeś tę wiedzę, jak mówił nasz pakt - oświadczył uroczystym tonem Andras. - Czas więc, byś wywiązał się z reszty umowy. Byś, zgodnie z treścią paktu, po chrześcijańsku mnie podjął: napoił, nakarmił i przyodział.

Mężczyzna wstał od ogniska. Otarł strudzone dłonie o sukno znoszonego habitu i powiedział:

- Słowo, rzecz święta, a uczynki, o których wspominałeś, najświętsze są, bo Bogu miłe. Ruszam więc po strawę, napoje i szaty. Nie wiem kiedy powrócę, bo to ziemie pogańskie i odludne, jednak czekaj mnie. Przyjdę tu niechybnie, by wyprawić godną ciębie ucztę.

- Och, nie kłopotz się, człeczko - odparł wesoło Andras. - Wszystko, czego mi trzeba, na miejscu jest. Tylko twe przyzwolenie konieczne. Tak więc, czy przyzwalasz?

Merfyn spojrział niepewnie na anioła.

- Nie rozumiem twych słów - szepnął.

- Nic tu do rozumienia - odparła istota łagodnie, głosem pełnym słodyczy. - Powiedz tylko, jak na chrześcijanina przystało, że zezwalasz mi, bym napoił się, nakarmił i przyodział.

- Tak, przyzwalam - powiedział Merfyn.

Andras roześmiał się radośnie i niewinnie, jak dziecko cieszące się nową zabawką. Uniósł dłoń smukłą, białą, jakby rzeźbioną w alabastrze, i położył na ramieniu człowieka. Merfyn krzyknął z bólu i strachu - dotyk ręki anioła palił skórę, niczym kwas. Andras, wciąż śmiejąc się, ścisnął w dłoniach wiotczące ciało człowieka. A potem, jednym ruchem, przywarł twardym dziobem swojej głowy do ludzkich ust i wypił z Merfyna jego duszę - duszę smakowitą, przyprawioną strachem i goryczą porażki. Potem sięgnął do piersi człowieka i wydarł z niej serce. Serce gorące, smakowite, którym się pożywił.

Anioł cisnął ciałem człowieka o skalne dno groty. Pochylił się nad zwłokami i niczym pęk kwiatów zerwał z głowy ofiary jej długie, jasne włosy wraz ze strzępami skóry. Anioł uczynił z nich przepaskę na swe biodra - trofeum, o którym od dawna marzył. Potem z uwagą odsączył krew z ciała Merfyna. Wtedy nadszedł czas, by rzucić resztki świcie.

Milczące kształty rzuciły się na mięso, ścięgna i kości. Cienie - dusze zniewolone - pożywiły się okruchami ze stołu pana. Syte, na rozkaz Andrasa, zebrały i wygładziły kawałki skóry Merfyna.

Wysały z niej ostatki zyciodajnych płynów, wyługowały swym jadem. Wyprawiły skórę człowieczą na pergamin i przycięły w prostokątne karty.



Andras - napojony, nakarmiony, przyodziany - sięgnął po wydrążony kamień gdzie, jak w misie, zebrała się ludzka krew. Wziął cedrowe deski i pergamin. Własnoręcznie smarował krwią cedrowe matryce, odciskał je na kawałkach człowieczej skóry. Potem zszył karty nicią z ludzkich włosów. Tak powstała andrasowa Księga Mordu, pierwszy jej egzemplarz.

Anioł uśmiechnął się do swych myśli. Wyrwał pióro ze swego skrzydła, zaostrzył je i na pierwszej, czystej jeszcze stronie księgi, krwią uczynił frontysepis ozdobiony autoportretem. Dał już traktatowi formę, treść i tytuł. Teraz chciał jeszcze dać swemu dziełu życie wieczne. Odbił więc wiele egzemplarzy, co zajęło mu czas do świtu. Potem usunął się w głąb groty i przysiadł, niczym ptak, na stosie ksiąg. Cienie, akolici jego, zbili się ciasno wokół anioła. Szepcem zawadzili magiczne inkantacje.

Spędzili tak sześć dni i nocy w jaskini. To było wyrzeczenie, cierpienie, ból - pobyt w materialnym świecie pod anielską postacią stanowił dla duszy i tajemnego ciała Andrasa torturę.

Wreszcie nadeszła noc właściwa. Anioł wyszedł z groty, spojrział w czarne jak kir niebo. Księżycyca widać nie było, jednak z firmamentu płynął jakiś blask. Światło odmienne, mroczne: blask Słońca Umarłych. Oto na horyzoncie wschodziła gwiazda czarnego światła, siewca wszelkich lęków, miejsce zesłania dusz naznaczonych Złem.

Nawet sługi anioła, cienie, przerażone były aktem, który miał się dokonać. Bez szemrania jednak wyniosły z jaskini księgi drukowane ludzką krwią.

Andras z twarzą uniesioną ku Słońcu Umarłych stanął w mrocznym świetle, chłonąc czarny blask. Potem brał w ręce tom za tomem i wymawiając magiczne formuły wznosił księgi w górę, nasycając każdą grozą i umiłowaniem zła. Tak upadły anioł umocnił swe dzieło. Wreszcie nakreślił palcem w piasku kwadraty Abramelina, a gdy te otwały bramy między światami, wrzucił tam stos ksiąg. Tomy pognały poprzez przestrzeń i czas. Rozpierzchły się w przeszłości i przyszłości, w miejscach pobliskich i na antypodach. Wielu je przeczytało.

Jedni dzieło Andrasa z obrzydzeniem rzucali na stos, inni ukrywali przed maluczkimi. Byli też tacy, którzy by je zdobyć, gotowali się zadać śmierć i każde Zło. Andrasowa Księga Mordu utkwiła w historii rodzaju ludzkiego, niczym cierń w stopie wędrowca.

Gdy brzask ziemskiego słońca zaróżowił firmament, Andras i jego świta odeszli tam, skąd przyszli. W parowie cisza była słodka i miodnie pachniały zioła. Pośrodku jaskini, obok barłogu z gałęzi, pod wykutym w skale imieniem upadłego anioła, leżała poźółkła czaszka i stos kości suchych, jak próchno. Znak to był, milczący choć wymowny, by człek paktował tylko z równym sobie.